



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



Doświadczenie naukowe.

Gdybyśmy komu powiedzieli, że nie potrafi wykonać ruchów na rycinie przedstawionych, mianowicie: palcem prawej ręki zakreślić w powietrzu koło w kierunku takim, w jakim się posuwają wskazówki zegarka, to jest od lewej strony ku prawej, a jednocześnie nogą zakreślić podobne koło, lecz w kierunku wręcz przeciwnym, od strony prawej ku

lewą; niejedni uwierzyliby w to nie chciał. A jednak spróbujcie, a zobaczycie, że to jest po prostu niepodobieństwem, ręka mimowoli wstrzyma się i zacznie się poruszać tak samo jak noga, albo znów noga wypowie nam posłuszeństwo i za ręką podążać zechce.

Spróbujmy np., siedząc przy biurku, podnieść prawą nogę i zakreślić w powietrzu koło, a jednocześnie napisać na papierze dużą literę D. I to zadanie okaże się niemożliwe. Dziwne to jest lecz prawdziwe. Musimy nawet wyznać, że panowie uczeni nie umieją w sposób zadowalniający tego osobliwego zjawiska wyjaśnić. Czy to brak wprawy, ponieważ zwykle poruszamy członki symetrycznie, czy też w mózgu, który ruchami tych członków kieruje, nie mogą jednocześnie powstawać wskazówki dwóch ruchów przeciwnych? jest to zagadnienie nierozstrzygnięte, a takich nauk liczyć niemało. Nikt nie jest w stanie zgłębić wszystkich tajemnic przyrody.

PODZIEMIA BARWAŁDZKIEGO ZAMKU.

powieść z dawnych czasów

PRZEZ **Boguchwałę.**

(Dalszy ciąg).

W tem to ustroniu, w sporéj komnacie, zasłanej miękkim kobiercem, z biegnącymi dokoła ścian miększymi jeszcze sofami, z całym przepychem różnanych i z laki droższej od złota stoliczków, szkatulek i innych cudnych drobiazgów, które już w Stambule pojawiały się, jako wyroby dalekiego wscho-

du, wśród kwiatów i woni, znajdowało się czternaście dziewcząt, pięknych jedna w drugą i strojnych w najświetniejsze wschodnie tkaniny i klejnoty drogocenne. Najmłodsza mogła mieć lat około dwunastu, który to wiek podówczas uważany był za dojrzalszy niż dzisiaj i oznaczał pannę dorosłą; najstarsza miała lat dwadzieścia pięć, i przy kruczonych włosach i oczach płomiennych, a głębokich, była tak niesłychanie imponująco piękną i ponuro wspaniałą zarazem, że wszystkie inne dziewczęta zwracały się ku niej bezustannie, jak ku słońcu, i jednocześnie drżały i cofały się przed nią, jak przed złowrogą potęgą.

Na środku sofy, tonąc w edredońskich puchach Islandyi, pokrytych chińskim jedwabiem, na wół leżała Ewa z Rabsztyna, jasnowłosa i jaśniejsza niż kiedykolwiek, bo chora i blada z przełknięcia, po porwaniu z klasztoru. Śmiała i zdrowa w tej chwili jak ryba, tak samo jak zawsze, Wanda Bonarówna, tuliła się jednakże do jej boku, mimowoli odczuwając, że Ewa i tu jak w klasztorze, miała pewną wyższość; w klasztorze z powodu uległości, rozsądku i powagi, a tu... nie wiedzieć dla czego, dość że i tu kochano ją i ulegało jej widocznie; co prawda to ostatnie nie było trudnem, bo Ewa nie była wymagającą nigdy. Wyglądałaby tu jak królowa, otoczona dworem, z ulubienicą u boku, gdyby i jej jasne oczy, jak wszystkie, nie zwracały się ciągle same z siebie, do rzeczywistej królowej, najstarszej z dziewcząt Jadwigi, która tu jednakże miała nieledwie obowiązki służebnicy, niewolnicy i nauczycielki po trosze.

— Jegomość prosi pannę Jadwigę! — mówiła służebna, stając we drzwiach, i panna Jadwiga czarnooka, spieszyła do jegomości, aby wróciwszy za chwilę, uczyć dalej tę i owę z dziewcząt sztuki czytania.

— Jegomość prosi pannę Jadwigę! — powtarzała służebna za chwilę, i panna Jadwiga biegła znowu, aby wróciwszy uczyć dalej inną z sióstr, cudownego haftu, jakim na kościelnych ornatach wstawiała się królowa Jadwiga. Bo wszystkie dwanaście dziewcząt prócz Ewy i Wandy były rodzonemi siostrami, córkami pana Przekory. W pół godziny później, kucharz, jakkolwiek miał już rozkazy, przecież koniecznie potrzebował jeszcze widzieć się z panną Jadwigą, a w chwilę później ogrodnik i inni domownicy, a potem znowu prosił jegomości, i tak dalej.

Ewa z Rabsztyna, przywyczajona do naturalnego porządku życia w szlacheckim zamożnym, dworze gdzie pań domu zajmuje się zewnętrznem gospodarstwem, a pani domowem, kapelan uczeniem dzieci, a niższa lecz doświadczona stara służba, innemi potrzebami, patrzyła z osłupieniem na tę ponurą milczącą istotę, zastępującą tu wszystkich nieledwie, choć ludzi w Przekorowym dworcu nie brakło. Patrzyła, ale zapytać o nie nigdy nie śmiała, choć Jadwiga była dla niej pełna dobroci.

Pewnego razu około południa, gdy złociste, a nie płomienne słońce zamieniło wirydarze, sady, i lasy, i dwór i wieś całą w kryształowe, bo przezroczystym szronem pokryte czarodziejskie siedlisko, Jadwiga rzekła:

— Dosyć pracy! — Pójdźcie siostrzyczki przyjechać się sankami po mrozie.

Dziewczątka, żwawo poczęły wyjmować bogate, sobolowe jubki z drogocennych szaf gdańskich, zarzucać je wzajem na siebie i wkładać buty odpowiednio w przyległej garderobie, wesoło pomagając sobie wzajem. Jadwiga tymczasem stanęła pochylona nad Ewą:

— A ty siostrzyczko? — spytała. Ewa odpowiedziała tylko smutnym, bezsilnym uśmiechem, a Jadwiga trochę podnosząc głos, spytała znowu:

— Kto zostanie z siostrzyczką Ewą?

— Ja! — odpowiedziało dwanaście srebrnych głosów, bo i Wanda Bonarówna była między przygotowującemi się do mroźnej przejażdżki, i wszystkie wybiegły, każda gotowa zostać z Ewą. Jadwiga z uśmiechem, porozumiewająco spojrziała na nią i rzekła:

— Zosia ma zostać!... reszta w drogę! — Ewa uśmie-

chnęła się do Jadwigi na podziękowanie, nie mogąc jednakże zrozumieć jej jak zawsze, bo choć istotnie przenosiła towarzystwo Zosi nad wszelkie inne, to przecież, dla tego właśnie że Zosia była jeszcze, mimo że dorosła, przecież troszkę papla i wydawała przed nią różne tajemnice Przekorowego dworca. Ewa nie domyślała się, że pozwalano jej umyślnie dowiadywać się i dociekać, ażeby potem nie przestraszyć, zbyt nagle prawdy odkryciem.

— Zosiu, czy nie wiesz kiedy odeślecie mnie do Rabsztyna? — spytała Ewa jak tylko same we dwie zostały.

— Jak tylko będziesz dostatecznie zdrową, aby przemieścić tak długą podróż.

— Ależ to nie może być tak bardzo daleko, przecież ja, choć przeleżałam się okropnie, gdy mnie z klasztoru porwano, jednak nie straciłam przytomności ani na chwilę i jestem pewną, że jednej i tej samej nocy po porwaniu z klasztoru, pędząc wprawdzie chyżo, co koń wyskoczy, zajechano ze mną tam, gdzie jak powiadacie, spotkał przypadkiem rozbójników wasz brat, i widząc, że uwożą kobiety jakiegoś, odbił nas i przywiózł do was.

— Nie wiem Ewuniu droga, ale pewno ty zemdląłeś i przez to tak ci się zdaje, bo brat Wszebor powiedział, że to bardzo daleko! Zresztą on ci to sam najlepiej powie, bo ma w tych dniach przyjechać...

Zosia niedokończyła, gwałtowne, a radosne psów szczekanie dało się słyszeć przed dworem i tętent koni zagrzmiał, a jednocześnie drzwi się rozwarły i wbiegła Wanda, mijając się z Zosią, która krzyknawszy radośnie:

— To on, to Wszebor! — wybiegła z komnaty na powitanie brata.

— Co tobie Wando? jakaś ty blada! Dla czego wracasz? wszak miałyście jechać — spytała Ewa zaniepokojona, podnosząc się z sofy.

— Nic mi, nic, tylko ten ich Wszebor przyjechał, więc zaniechano przejażdżki i ja wracam do ciebie; niechaj oni się z sobą nacieszą — powiedziała Bonarówna, powolnie jakoś zdejmując jubkę i siadła przy Ewie blada jak ściana.

— Przez litość co tobie jest? — szepnęła Ewa przestraszona ujmując jej ręce — mów prawdę, albo umrę chyba ze strachu!

— No, to już wolę powiedzieć — jeszcze ciszej wyszeptwała Bonarówna — oto pomiędzy tymi, którzy dopiero co przyjechali widziałam... siostrę Agatę...

Ewa, chociaż przygotowana na coś strasznego, przecież tak się przeleżała, że nawet nie krzyknęła, tylko obie ręce do skroni podniosła i pozostała tak nieruchoma przez chwilę...

— Jesteśmy pomiędzy rozbójnikami! Teraz wszystko rozumiem!... — jęknęła wreszcie.

— A no, kiedy rozumiecie wszystko, to będzie można z wami pogadać!... — ozwał się w tej chwili głos znany i siostra Agata zbliżyła się do wystraszonych pańienek, wychodząc z poza bogatej opony drzwi zasłaniającej. Usiadła na sofie koło tulących się wzajem do siebie, jak pisklęta, dziewcząt i rzekła:

— Każda z was moje panny ma bogatego ojca i wyznaczony posag, napiszcież każda do swego, aby posag ten złożył w karczmie na wadowickiej drodze, w ciągu jednej doby po odebraniu waszego pisma, a za drugą dobę będzie miał córkę powróconą... tylko, wy przysięgniecie wprzódy że zapominacie jak wygląda ten dworzec i ci którzy w nim mieszkają, i nigdy nie poznacie nikogo z nas, gdybyście go wśród ludzi spotkały. Rozumiecie dzieci?

— Jako? — szepnęła Ewa blada jak płótno — więc gdybym kiedy ciebie siostrze Agato ujrzała w jakim domu bogatym, tak jak widziałam w klasztorze, to nie miałabym powiedzieć gospodarzom tego domu?...

— Musiałabyś milczeć!

— Ależ to byłoby nieledwie współnictwem z rozbójnikami! — zawołała Wanda.

— Ja nie mogę takiej składać przysięgi! — żywo odparła Ewa.

— No, to posiedzicie tutaj dopóki nie będziecie mogli jęj złożyć — rzekła z zimną krwią siostra Agata. — Otóż to tyle zyskujemy na kawalerskiej grzeczności mego panicza, bo ja dobrze mówiłam żeby panny trzymać w lochu ciemnym, wtedybyście chętnie i natychmiast przysięgli coabyśmy chcieli, byle prędzej z lochu wyjść, i przytem nie znalazłyście nikogo z naszych... Ale panicz się uparł że pomarniejecie w lochu i tu kazał was zawieźć. A teraz kłopot. No, namyślcie się jeszcze, a śpieszcie, bo się i tak dużo czasu zmitrężyło przez to, żeśmy gdzieindziej, daleko ztąd byli zajęci. Namysłajciez się...

I wyszła pozostawiając dziewczątka przerażone i bezradne. W chwilę później przyszła panna Jadwiga ze śladami łez starannie zmytych na twarzy, wypytała czy panienki czego nie potrzebują, opowiedziała że przygotowują się uczta i festyn wielki w dworcu, na przyjęcie brata Wszebora, i prosiła aby i one udział wzięły w zabawie, a potem zaraz sam Wszebor odwiezie je do domu. Mówiąc to wszystko jakby wyuczoną lekcją, miała oczy spuszczone, aż gdy je podniosła i nieśmiało spojrzała na Ewę, ta wzruszona ciężkim smutkiem z tych oczu patrzącym, zarzuciła jęj nagle ręce na szyję i obie serdecznym wybuchnęły płaczem, ściskając się czule.

— Nie będziemy na waszj zabawie — szepnęła Ewa wreszcie.

— A ja na nią będę, ale tylko po to, aby na gospodarstwo i na siostry dać baczenie; nie należę nigdy do tych tańców. Nie mówcie nic... nic moim siostram — łkając odpowiedziała Jadwiga, i odeszła nie dodawszy ani słowa więcej.

— Biedna, ona wie wszystko, i jęj ojciec także, ale siostry nie wiedzą — rzekła Ewa.

— Młodsze nie wiedzą, ale starsze domyślają się — odparła Bonarówna.

Wkrótce obcy ludzie zaczęli się zjeżdżać, muzyka zagrziała, ochota trwała parę dni i nocy, bo po krótkim odpoczynku rozpoczynano ją na nowo. Dwie uwiecznione dziewczyny przetrwały tenczas samotnie, w ustronnej swj komnacie. Siostra Agata czyli raczej Kukawkowa, odwiedzała je codziennie pytając, czy już się namyśliły? One odpowiadały że jeszcze nie, a potem pytały się wzajem co począć? Jadwiga płakała z niemi, ale poradzić nic nie mogła.

VIII.

Jak syn szatana przyszedł po pieniądze, i jak była raz kozie śmierć!

— Uch!... jak tu straszno w tych barwałdzkich gruzach, aż mrowie człowieka przechodzi!

— A jak skarby odkopimy i ty też dostaniesz twoję część, jaką panowie kopaczom wyznaczili, to co wtedy? Czy cię mrowie też przechodzi będzie, gdy pieniądze będziesz brał?

— E... co ma wtedy przechodzić. Uh!... święta Jadwigo jakże to jękło!...

— Zwyczajnie jak w barwałdzkim zamku: mało to tu dusz zbójcy zegnali ze świata?... A co potem i zbójców padło, jak wojska królewskie na pana Skrzyńskiego zagładę przyszły, he? Jest komu jęczyć.

— Oj joj jakże to chichocze okropnie! Oj my tu nie wytrwamy!

— A gdzież pójdziesz na taki mróz? Przecież w murach zawsze zaciszniej. Już my tu musimy nocować dopóki roboty koło kopania trwać będą, bo i drzewa na ognisko nie brak.

— Och! cóż to za blask!

— Et... to właśnie pieniądze się palą. Pomyśleć tylko co to tu choćby sam pan Skrzyński musiał pieniędzy pozakopywać! ho! ho!... będzie czem się dzielić; starczy i panom i nam za nasz strach.

— Tak, jeżeli z nas wprzódy złe duszy nie powystrasza.

— Bo też źle jest że tak ciągle o tem mówicie; najlepiej jeść i spać i nic nie gadać a rano, do roboty!

— Ba!... ale kiedy to te pieniądze co tam płoną, to nie są ludzkie i nie dadzą się odkopać... wiecie co powiada dziad z chaty na Zbójeckim Ostrowiu naprzeciwno...

— Aha... on powiada że to szatańskie pieniądze i że szatan kazał mu ich tu pilnować, dopóki syn szatana po nie tu nie przyjdzie.

— On powiada że przykrzy mu się już czekać, a czekać musi.

— Wszelki duch Pana Boga chwali!... Cóż to za straszny jęk!... to jakby całe piekło zgrzytało z bólu!... — szepnęli wszyscy rozmawiający, tuląc się do siebie i zamilkli drżąc. A ktoś spojrzawszy na niebo, mruknął:

— Północ!...

Tegoż wieczora, gdy najniższa służba górnicza, zwerbowana z trudnością, do niemilj w osławionej miejscowości roboty, rozmawiała z sobą w powyższy sposób przy ognisku i wieczery, w zaułku zburzonego barwałdzkiego zamczyska... ten o którym mówiono, stary dziad z chaty przeciwniej, na Zbójeckim Ostrowiu, siedział jak zawsze u komina, ale teraz sam jeden w swj chacie. Żona jego już zmarła ze strachu. Gdy po zamarznięciu topielisk przyszła wiadomość przez chłopą kupującego ptactwo i rybę, o postanowionych poszukiwaniach skarbów w okolicy, babina pewna była że coś straszego stanie się z jęj mężem, gdy nie będzie mógł obronić przed ludźmi powierzonych jego pieczy bogactw. Pobiegła w końcu po radę do księdza, na co wpiertw nie mogła się odważyć, nie chcąc obwiniać męża. Ksiądz jęj wybaczył że tak długo ukrywała nieszczęsną tajemnicę, lecz powiedział, że musi się widzieć z mężem, i jeżeli ten wyzna sam w pokorze i skrusze swą winę, Bóg mu przebaczy, a szatan mieć nie będzie nad nim mocy.

(d. c. n.)

Nowy użytek welocypedów.

Oddawna już posługiwano się welocypedami, w armii francuzkiej i niemieckiej oddały one nawet znaczne usługi w czasie ostatniej wojny w r. 1870. Używano wtedy pojedynczych samochodów, dla rozsyłania pośpiesznych depeesz, dziś wszakże mają one daleko obszerniejsze zastosowanie. Anglia postanowiła najpierwsza zużytkować połączoną ich siłę. Próby robione w tym kierunku w Londynie, wybornie się udały. Rycina nasza przedstawia całą uprząż długiej linii welocypedów, ciągnącą wóz z żywnością, kierownikiem jest jeździec siedzący na przodzie, inni popychają tylko koła. Szybkość jazdy jest wielka, pociąg welocypedystów przebiega niekiedy do 25 kilometrów na godzinę. Żołnierze, są pod bronią i w razie niebezpieczeństwa formują szereg, zasłaniając się niby barykadą dwunastokołowym sznurem welocypedów.

Czas pokaże czy pomysł ten zalecać się będzie praktycznością.

WIEŻA EIFEL'A.

KOMEDYJKA W JEDNYM AKCIE.

(Dokończenie).

Scena VII-a.

ANIELKA. O jakichże źródłach bijących w górę pan mówi? Ach rozumiem, *mais comme vous êtes poétique*. Pan pewnie ten szereg kolumn strzelających ku niebu porównywa do skamieniałych źródeł. (*wyjmuje notatnik i zapisuje coś w nim*).

WANDZIA (*na stronie do Karola*). Jaka śmieszna! Ale cóż będzie jeśli się wszystko wyda, bo i teraz plotkę o biją-

cych źródłach, kiedy ona mówiła o kolumnadzie, którą nieraz widziałam u niej na obrazku.

KAROL. Bo myślałem że kiedy się nazywa Milbrun, to tam dużo źródeł tryska. Żle... ale cóż robić, nie czas się cofać, mnie, który właśnie uczę się w mojej klasie o Franciszku pierwszym (mówi patetycznie). Wszystko stracone prócz honoru, a honor każe brnąć dalej (prędko do Wańdźi) pomóż i ty czasem siostrzyczko.

ANIELKA (zamykając notatnik). Charmant (do Karola) Bardzo panu dziękuję za to piękne porównanie, którem zbogaciłeś pan moje zapiski. A propos, jakież jest pańskie zdanie o Berlinie.

KAROL (trochę zmieszany chrząką). Berlin! to jest właściwie, ten tego, Berlin wielkie, bardzo wielkie miasto.

ANIELKA (z ożywieniem). Tak, olbrzymie miasto, a ja-

ANIELKA. Jak dla kogo, ja która widziałam Karlsbad i Berlin...

KAROL (przerywając). Cóż to będzie gdy pani zobaczysz Paryż! Wtedy poznasz dopiero, że w naszej Polsce nie warto żyć. Wystaw sobie pani, tam każdy szewc rozmawiać będzie z panią po francuzku, a co za natura! naprzykład chmury, słowo daję wcale inne chmury jak u nas.

ANIELKA (sposstrzegając się). Ej, pan sobie pewnie ze mnie żartuje, ale niechże nam pan opowie co pan widział najciekawszego, ja bo niezmiernie pragnęłabym zobaczyć murzyna, a podobno chodzi ich dużo po Paryżu.

KAROL. Murzyna? Tam murzyni co krok spotykają się na ulicy, ale życzenie pani jest dla mnie prawem, właśnie przywożem z podróży grooma, najczystszej murzyńskiej krwi, zaraz go pani przedstawię. (wybiega).



Nowy użytek welocypedów.

kie wspaniałe ulice, naprzykład *Unter den Linden* z brandeburską bramą, albo te konie na nięj!

KAROL (nie dosłyszawszy ostatnich słów). Tak te konie, cudowne konie, jaka rasa, jaki ogień! Na takim wierzchowcu możnaby świat objechać.

ANIELKA. Ależ ja mówię o rzeźbie, która zdobi brandeburską bramę.

KAROL (na stronie). Znow się złapałem.

WAŃDZIA. To też mój brat zachwyca się w ten sposób arcydziełem artysty, który tak wiernie umiał naśladować żywe wierzchowce.

KAROL (na stronie do Wańdźi). Brawo siostrzyczko (głośno). Tak pani, te wierzchowce zdają się zrywać do lotu, to jest do biegu, zdaje się jakgdyby ręka mistrza zakula w nich iskrę życia, że, że, aż (na stronie) nie wiem co dalej.

ANIELKA (z uniesieniem). Ach jaką pan ma bujną wyobraźnię, znać zaraz że pan dużo podróżował. Niechże nam pan opowie coś o Paryżu i o wystawie, bo od czasu jak dowiedziałam się że mamy tam jechać, nie mogę patrzeć na nasz szkaradny Opalin.

WAŃDZIA (z oburzeniem). Szkaradny! Co też ty mówisz, Anielko, przecież tam tak ładnie.

Scena VIII-a.

ANIELKA, WAŃDZIA.

WAŃDZIA (na stronie). Co on myśli zrobić?

ANIELKA. Brat twój Wańdziu jest bardzo miłym kawalerem, znać zaraz że był w Paryżu, ale dla czego nie opowiadałyście mi nigdy o tem, a ten groom, prawdziwie to nadzwyczajny pomysł. Mój papa taki bogaty a jednak nie ma dotąd murzyna.

WAŃDZIA (do siebie). Żal mi jęj było, ale kiedy znów o swem bogactwie mówić zaczyna, to nie wyprowadzę jęj z błędu (głośno). Nie wszystko kupisz za pieniądze, nieraz jeszcze przekonasz się o tem.

ANIELKA. Ale bez pieniędzy bardzo trudno, nawet za próg domu wychylić się nie można, a ja tak podróżować lubię, i słysząc opowiadania pana Karola, tem więcej się cieszę, że będę w Paryżu.

WAŃDZIA (na stronie). Gdzie także nie robią z owsa ryżu, (głośno). Może zechcesz przejść się po ogrodzie.

ANIELKA. Ach nie, czyż to warto, kiedy tu w całej

okolicy właściwie nic ciekawego niema do widzenia, zresztą pan Karol obiecał przyprowadzić tu swego grooma.

WAŃDZIA (do siebie). Czekajże więc sobie na niego, ale ciekawa jestem, co też ten figlarz wymyśli.

Scena IX-ta.

Wandzia, Anielka, Karol wchodzi prowadząc za sobą Jaśka, który ma twarz i ręce sadzą posmolone, buty ze sztylpami i czerwony szal spięty na ramieniu. Wandzia poznaje Jaśka i parska śmiechem na stronie. Anielka przypatruje się z niedowierzaniem).

KAROL (patetycznie). Pani! w tej długiej powiewnej białej sukni, przypominasz mi zupełnie statwę wyobrażającą geniusz Francji. Stoi ona na wierzchołku wieży Eifel i trzyma w rękę pochodnię.

WAŃDZIA (tłumiąc śmiech). Cóż więc chcesz aby Anielka zrobiła?

KAROL. Nie śmiem wyrazić mego życzenia, ale gdybyś pani mogła przychylić się do méj prośby, urządzilibyśmy żywy obraz.

ANIELKA. Żywy obraz! *Une charmante idée!* Zupełnie jak w ogrodzie Krola w Berlinie. Ale jakże mianowicie ma być wykonany ten obraz?



Ryba chodząca.

KAROL (z ukłonem do Anielki). Ośmielam się przedstawić pani mego grooma.

JASIEK (śmieje się pokazując białe zęby).

ANIELKA. *Quelle belle denture!*

(Jasiek parska śmiechem i wybiega z pokoju).

Scena X-ta.

(Ciż sami prócz Jaśka).

KAROL (do Anielki). Przepraszam panią za nieoczywistość tego chłopca, ale pojmuje pani, że dziecko dzikich stepów Afryki, to jest chciałem powiedzieć piaszczystych pustyni, że mówię...

ANIELKA (przerzywając). Niech się pan nie tłumaczy, przecież nie można się obrażać na murzyna, owszem bardzo panu jestem wdzięczna za dogodzenie memu życzeniu.

KAROL. Miałbym i ja prośbę do pani, ale wyrazić jej nie śmiem, bo wiem że byłoby zuchwałstwem żądać od tak mało znanéj osoby spełnienia naszych pragnień.

ANIELKA. Owszem powiedz pan, chętnie zrobię wszystko o méj mocy, aby mu dogodzić.

KAROL (do Anielki pokazując słup marmurowy stojący w kącie pokoju). Ot tu pani racz wejść na ten słup, będziesz przedstawiać posąg Francji na wieży Eifel. (wyjmuje z lichterza świecę i podaje ją Anielce, która waha się, ale z pomocą Wandzi wchodzi chociaż z trudnością na słup).

WAŃDZIA. Wyborniel podnieś tylko rękę do góry, bo geniusz zawsze w górę wznosić światło powinien (ustawia Anielkę).

KAROL. Cudowniel ślicznie, *admirable!* zupełnie przypomina wieżę Eifel. Teraz my, Wandziu, klękniemy tu u stóp pani, będziemy przedstawiali ciemną ludność oczekującą na światło.

Ustawiają się przybierając uroczyste postawy, wtem wchodzi pani Osalska i Józia).

Scena XI-ta.

KAROL, WAŃDZIA, ANIELKA, PANI OSALSKA, JÓZIA.

PANI OSALSKA. Czemuż ty klęczysz Karolu a i ty Wandziu? (sposstrzega Anielkę stojącą w śmiesznej pozie na słupie). A to co ma znaczyć? Jakiś żywy obraz (do Wandzi, która

się śmieje na stronie). Wańdziu! dla czego bawicie się w taki dziwny sposób? Na tym słupie stać niebezpiecznie można się potknąć i zlecieć.

ANIELKA (*schodząc z trudnością ze słupa trochę zakłopotana*). Niech się pani nie gniewa, to pan Karol ułożył na prędce żywy obraz, w którym ja przedstawiać miałam geniusz Francji na wieży Eifel, tak jak go pan Karol widział w Paryżu.

PANI OSALSKA. W Paryżu? Chyba na obrazku, bo Karol zapewne nie tak prędko Paryż zobaczy (*z naciskiem*) niech wpierv dobrze własny kraj pozna, zanim po innych podróżować zacznie.

ANIELKA (*z największym zdziwieniem*). Jakto? przecież pan Karol zna Londyn, Paryż, Szwajcaryą.

KAROL (*zmieszany*). To jest właściwie ja czytałem opisy Paryża i Londynu.

PANI OSALSKA. Cóż więc znaczyły słowa Anielki, Karolu? Nie sądzę aby syn mój udawał to czem nie jest?

KAROL (*z żywością*). Nie, mam! wiesz że do tego nie jestem zdolny, że zresztą nic dla mnie droższego i piękniejszego nad własny kraj, ale chciałem zabawić pannę Aniele.

ANIELKA (*urazona*). Dziwna doprawdy zabawa, wyprowadzać kogoś w pole.

WAŃDZIA. Nie gniewaj się na niego, Anielko, ja jestem najwinniejsza, nie powinnam była pozwolić na żart, który ci mógł być przykrym.

ANIELKA (*ze łzami w oczach*). I który mnie ośmieszył.

KAROL. Doprawdy, panno Anielo, wybacz, nie chciałem cię obrazić, tylko wiedząc od sióstr że chętnie mówisz o obcych krajach, spróbowałem i ja w ten sam sposób rozmawiać, było to trochę złośliwie, ale czuję moją winę i mam nadzieję że mi ją przebaczysz.

PANI OSALSKA (*do Karola*). Oboje z Wańdzą zawiniście i słusznie się wam połajanie należy, lecz wierz mi Anielciu, chociaż dzieci moje zasłużyły, sama to przyznaję, na nagane, oddały ci jednak swym żartem prawdziwą przysługę. Pamiętaj z niej skorzystać, kochanko, być prostą naszą wiejską dziewczeczką, co swój własny rodzinny kącik kocha nad wszystko, i nie stara się błyszczeć pożyczanym blaskiem, który tylko ośmieszyć może. Żadne podróże nie zastąpią prawdziwego wykształcenia, a rozumną i dobrą meżną być wszędzie, wierz mi, i pozwól się uściśkać, na znak że nie chowasz urazy do moich dzieci. (*ściska Anielkę*).

Scena XII-ta.

CIŻ SAMI, JASIEK (*niesie w pole od kapotki gruszki, włosy roztargane, na twarzy i rękach ślady sadzy*).

JASIEK (*do Józii*). Zabacyłem oddać panience grusek, bo mi panie zaturbowali głowę z tym carnym malunkiem, a teraz myję się i myję i ino woda splywa kięj błoto a z pseprouseniem panienki, cigiem carne.

PANI OSALSKA. Cóż to znaczy? dla czego Jasiek taki powalany?

KAROL (*ze skruszoną miną*). To znów moja wina, mateczko, chciałem pannie Anieli zaprezentować grooma murzyna i umalowałem Jaškowi twarz sadzami, ale nie myślałem że je tak domyć trudno.

JÓZIA. Co za dzieciństwo (*do Jaška, dając mu kilka gruszek*). Chodź dostaniesz mydła, to niem łatwiej pozbędziesz się murzyńskiej cery.

KAROL (*wsuwając mu coś w rękę*). A tu masz złotówkę na elementarz, nauczę cię czytać przez wakacye, może tym sposobem nagrodzę dzisiejszą psotę.

(*Józia i Jasiek wychodzą*).

Scena XIII-ta.

CIŻ SAMI PRÓCZ JÓZI I JAŠKA.

ANIELKA (*hudząc się z zamyślenia*). A ja uwierzyłam prawie, że to murzyn! (*do pani Osalskiej*). Poznaję teraz jak byłam śmieszna, niech mi pani daruje i pozwoli zostać nadal przyjaciółką swych córek.

WAŃDZIA. Zawstydzasz mnie swą dobrocią, Anielko, to ja starać się będę o twoją życzliwość i przepraszam cię za mój żart najserdeczniej.

KAROL. A ja obiecuję bawić was moje panie dobrze i wesoło przez całe wakacye, a teraz zgoda, nieprawdaż?

PANI OSALSKA. Zgoda, zgoda, dzieci i do podwieczorku.

Zofia Bukowiecka.

RYBA CHODZĄCA.

Jakkolwiek ryby w ogóle opatrzone są jedynie przyrządami do pływania i oddychania w wodzie, niektóre z nich wszakże mogą się przenosić i w inny sposób z miejsca na miejsce, wychodząc chwilowo z wody, do tych należą węgorze i ryba nazwana łaziec (*Anabas scandens*) która wdrapuje się na drzewa rosnące w pobliżu wody. Są znów ryby latające, to jest unoszące się w powietrze ponad wodą jak strwołotka i ptaszor (*Dacylapterus* i *Exocaetus volitans*) a wreszcie ryby chodzące po dnie morskiem i skałach podwodnych, jak te które przedstawia rycina nasza. Ryba ta zwana maźnicą (*Malthe vespertilio*) zamieszkuje Ocean Atlantycki, głównie na brzegach amerykańskich, gdzie ją zowią „Nietoperzem morskim”. Nie może ona pływać dokładnie i przez swą budowę zmuszona jest chodzić lub skakać jak wucha, którą nam przypomina kształtem. Głowę ma wielką i szeroką, opatrzoną na przodzie wyrostkiem, całe zaś ciało z wyjątkiem strony brzusznej, pokryte twardą łuską i stożkowatymi wyrostkami. Grzbiet ma szaro brunatny, spód zaś czerwonawy.

WSPOMNIENIA MŁODEGO WĘDRÓWCA

Z PODRÓŻY NAOKOŁO ŚWIATA.

(Dalszy ciąg).

Dnia następnego zwiedziliśmy inny wulkan jawański, znajdujący się także w okolicy, i zwany Gunun-Gunter, a chociaż pan Antoni badał na ten raz tylko podstawę, nie mając zamiaru wdzierać się na szczyty, przecież dostęp był trudny bardzo, a zejście jeszcze trudniejsze tak, że oprócz woźnicy, gdy jeden z przewodników prowadził konie, trzymając za dyszel, bo jechaliśmy powozikiem, to dwaj drudzy wstrzymywali ów „kahar” z tyłu, trzymając go na powrozach. W miasteczku czy wiosce Leles, przesłicznój jak wszystkie siedziby w głębi Jawy, pan Antoni przedstawivszy znów miejscowemu merowi-burmistrzowi-wójtowi swoje papiery, bardzo był uprzejmie przyjęty, zastawiono zaraz „rijsttafel” z wielką gościnnością, którą w ogóle przyznać trzeba wszystkim tutejszym urzędnikom; może są spragnienistosunku z Europą, i cieszą się serdecznie z każdego, jaki się zdarzy, choćby nie z Holandyi przychodził. W każdym razie Holendrzy dobrymi ludźmi być muszą, dowodzi tego przecież ich zamiłowanie w ogrodach, w kwiatkach właściwie i w rodzinnem domowym pożyciu. Ta wycieczka zawiodła nas w głębię wyspy, w jej serce niejako; to też ujrzałem tam dziwny i niemiły zwyczaj, krajowcy nie tylko pozdrawiali nas i kłaniali się, zapewne na widok przewodnika, danego nam znów „z urzędu”, a raczej z uprzejmości tegoż urzędu, to jest wójta miejscowe-

go, ale nawet, zszedłszy w bok drożyny, wcale nie zły, składali na ziemi to co dźwigali i klękali przed nami... Dopytywałem o pochodzenie tego przykrego zwyczaju i zdaje się, wedle zdania pana Antoniego, że źródłem jest starożytna jeszcze cześć dla władców miejscowych, przed przybyciem tutaj i zagospodarowaniem się Holendrów. Uderzającym także było w głębi kraju krążenie ludności bezustanne, tak w dzień jak w nocy przy niezmiernie jasnym świetle księżyca, może liczniejsze nawet przy tem ostatnim niż pod promieniami płomiennego słońca. Mężczyźni z nieodstępem „kriss” starożytną bronią narodową, zawieszoną u pasa, kobiety z dziećmi, i to wszystko załatwia sprawy swoje żwawo, z ożywieniem, ale dziwnie spokojnie zarazem: ten najzupełniejszy brak wrzawy, właściwej niektórym ludom wschodnim, jest tu tak uderzający, dla mnie przynajmniej, że nie mogłem go nie zauważyć. Zresztą zdaje się jakby noc właściwa, to jest tak zwany u nas czas spoczynku, nie istniał tutaj. Męczącą była ostatnia ta wycieczka, chociaż jeździliśmy powozem, to też cały następny dzień odpoczywaliśmy; co znaczy, że pan Antoni zdejmował fotografie z rozmaitych punktów tej cudnej cieplarni, która się nazywa miastem Bantong. Bo chociaż wszystkie miasta wewnątrz Jawy są ukryte w gęstych przepysznych gajach, to przecież Bantong przynosi je swą pięknosciami. Pan Antoni najczęściej rysuje, a o ile poznać się na tem mogę, biegłym jest rysownikiem, ale czasem także fotografuje, a fotografią zna z gruntu oczywiście: długo nie mogłem pojąć dla czego rzadko używa fotografii, aż teraz pojąłem, jeżeli się nie mylę. Gdy idzie o mechaniczne przerysowanie linii jedynie, pan Antoni fotografuje... gdy trzeba koniecznie wyrazić wdźwięk czy grozę, czy coś innego, co z ducha pochodzi... używa zawsze ołówka. Mnie zdawałoby się, że fotografia, jako doskonałe naśladowanie, jest w każdym razie najlepsza, ale pan Antoni nie zgadza się na to, powiada, że fotografia wcale nie wystarcza, i ja nareszcie podobno zaczynam rozumieć myśl jego, albo raczej uczucie...

Byliśmy też na targu w Bantong: lud wszystkich nosi tu ogromne kapelusze z wielkimi rondami, zielone, żółte, zdaleka na czerwone, niebieskie, złotawe, białe, spojrzawszy rynek targowy, zda ci się, że patrzysz na niezmiernie bujną łąkę, ogromnymi kwiatami barwistemi obficie porosłą. Mężczyźni dźwigają ciężary na dwóch końcach bambusu przewieszzonego przez ramie; kobiety odziane jedynie w *sarong*, to jest krótką spódniczkę o krzyczących jaskrawych barwach dźwigają żywność i kosze z owocami; malutkie dzieci nagie zupełnie, dźwigają także różne spore ciężary pomagając matkom, bo zwierze juczne i pociągowe jest tu rzadkością, wszystkie posługi pełnią ludzie. Potem zwiedziliśmy, pojechawszy koleją do Tzandzur i przenocowawszy tam, cudowną, miejscowość Sindanglaya, gdzie w najgorętsze lata uciekają okoliczni Holendrzy, chroniąc się przed upałami, ponieważ jest wzniesiona o 1070 metrów nad poziom morza panuje tam lekki chłód orzeźwiający. Wracając około wulkanu Ghedé, zwiedziliśmy przepyszny ogród botaniczny, urządzony cudownie kosztem zamiłowanego snadź także w botanice zarządu, na wysokości 1600 metrów ponad poziomem. Ogrodnicy Holendrzy rodowici, pielęgnują tam wszystkie i to jednocześnie najwspanialsze okazy flory, europejskiej amerykańskiej, i australskiej. Następnego wieczora około dziewiątej godziny, przy pysznym świetle księżycowym i z sześciu Malajczykami, niosącymi pochodnie, zapasy i przybory pana Antoniego, puszczaemy się znowu w drogę dla zwiedzenia owego Ghedé. O jedenastej w nocy minęliśmy już ostatni kres gruntów uprawnych na wysokości 1350 metrów i weszliśmy w głuchy las podrównikowy. O siostrzyczko, dla czegóż nie umiem malować, lub nie mam odpowiedniego daru pisarskiego, abym ci dał wyobrażenie dokładne o tej nocy przebytej na jawańskich wulkanach. Przedewszystkiem była to leśna groza, przepaść bagnista co krok nieledwie, bo tu już jako w mniej uczęszczanej okolicy, drogi żadnej nie było: trzeba przebywać olbrzymie drzewa w poprzek przewrócone, potoki bystre, a nawet raz musieliśmy iść wprost łożyskiem takiego potoku, pod górę, prawda że nie był głęboki. Mimo to jednak mieliśmy już odzież przemoczoną

w skutku wilgoci, panującej w atmosferze tych lasów bezdennych, gdzie ze mchu i paproci, gdy na nie stąpisz, wytryskuje woda jak z naciśniętej gąbki, a z lada listka kapie jak deszcz. O samej północy siadamy odpocząć przy pochodniach, niezmierna wilgoć nie daje rozpalić ognia, pan Antoni spogląda na mnie przypadkiem i zaraz potem spogląda drugi raz z największą uwagą i krzywi się okropnie:

— Natychmiast „mon ami” weź świeże flanelowe ubranie a twoje niechaj przewodnicy wysuszą — powiada bardzo grzecznie, ale już ja znowu widzę to, co na Krakatoa widziałem — to jest zniecierpliwienie na twarzy pana Antoniego; pewien jestem, iż znowu mu przeszkadzam i że żałuje serdecznie iż mię wziął. Malajczycy nieśli nasze ubranie do zmiany; znajdowaliśmy się wtedy na wysokości 1700 metrów. Wkrótce, idąc łożyskiem małego strumienia w górę, poczułem na chwilę, że woda jest ciepłą tak dalece, iż rozgrzała mi ziębnięte nogi.

— Ciepły strumień na wysokości 2,000 stóp po nad poziomem morza na stoku wulkanu Ghété... — mówi pan Antoni i coś tam zapisuje. Dostęp staje się coraz trudniejszy, mimo pochodni nie widać nic, ani nieba ani ziemi, bo wszystko naokoło zakryte jest gęstwiną mchu i zieleni, splełtaną ljanami, przez które przedziera się gęstwiną paproci, ale nie panuje tu teraz wcale leśna cisza, przeciwnie, ogłuszający potężny, choć tłumiony huk wodospadów rozlega się na wszystkie strony, zda się, jakby potoki górskie gwałtownie rozbijały się na skałach, nie tylko naokoło, ale i nad głowami i pod stopami naszymi. O czwartej rano wszyscy zmordowani jesteśmy i z konieczności trzeba odpocząć na maleńkiej miejscowości trochę otwartszej; jesteśmy na wysokości 2,500 metrów, niema tu już przejmującej wszystko wilgoci, jaka panowała poniżej; z pewnym trudem przewodnicy rozpalają przeciw ognisko, czego nie mogli dokonać poprzednio, gdy wszystko ociekało wodą. Tu suszą moje poprzednie ubranie, a ja z rozkazu pana Antoniego i on sam przywdziewamy znowu świeże. Pijemy wrzącą czarną kawę, i ja który kawy nie lubię, po raz pierwszy pojmuję dla czego jest ona tak pożądaną przez przyrodników i sam uczuвам wpływ jej zbawienną, rozgrzałem się, ożywiłem, rozweseliłem, zacząłem rozgadywać się żywo z przewodnikami, aż pan Antoni rzecze z uśmiechem:

— Mój młody przyjacielu... już powiedziałem, że masz temperament „podróżniczy” cieszy mię to że się nie pomyliłem.

— Dla tego że nie płaczę, gdy mi jest zimno, albo gdy mi się chce jeść, lub nogi bołą ze zmęczenia? — odrzekłem — Jeżeli cierpliwe znoszenie takich małych przykrości ma być kwalifikacją na podróżnika, to jakimż hymnami należałoby wysławiać temperament pana, który znosisz, zaledwo pozwalając sobie skrzywić się czasem, przykrość narzuconą sobie niepotrzebnie, jaką masz z mego towarzysza.

Rozśmiał się głośno, podał mi rękę i serdecznie moje uściskał:

— Czyliż rzeczywiście krzywię się? A no to brzydko! — rzekł z uśmiechem. — Pociesz się młody przyjacielu, przypisując to krzywieniu tantym mniejszym jak je nazywasz przykrościom, nie zaś tej jaką sam się mniemasz mi sprawić. Jeżeli istotnie pożałowałem, że jesteś mym towarzyszem, to jedynie tylko z obawy, że nie dopełniam obowiązków opieki, jakich przecież dobrowolnie, choć może lekkomyślnie trochę podjąłem się względem ciebie. I w tej oto chwili, mocno żałuję, że naraziłem cię na tę wycieczkę trudną po nad młodzieńcze siły twoje; obyś tylko nie przeziębził się, nie dostał jakiej febry z przemoczenia na ten raz, a już przyrzekam sobie, że w innym podobnym wypadku, pozostawiać cię będę w hotelu lub u znajomych, a choćby i w jakim „biurze” w depozycie u tutejszych uprzejmych urzędników aż do mojego powrotu.

— Bardzo panu dziękuję! ja nie jestem jedną z pańskich waliz, które czekają na pana w hotelu w Bantong! One po to właśnie jadą, aby w depozytach oczekiwały, ale ja nie po to pojechałem!

— Ty pojechałeś abyś oddychał ozywczem morskiem powietrzem, nie zaś siarczanemi wyziewami na szczytach jawańskich, ponad kraterami wulkanów. A jakkolwiek miło

jest mieć towarzysza, któryby się o drogę, ani o cel podróży, ani o spoczynki nie sprzeczał i zawsze był w dobrym humorze, to jednak, milszym mi jeszcze jest spokój sumienia, które okrutnie mię dręczy właśnie z téj przyczyny.

(d. c. n.)

SZARADA.

(od Niezapominajki z nad Warty dla Poranka majowego)

Wspak pierwsze C dodawsz, jest sobie zaimek, *ich*
Drugie rzeka lub przyimek, *Hi-po-po-tam*
To samo co drugie jest trzecie,
Wspak czwarte, w grze użyć możecie,
Wszystko zaś razem zebrane,
Oznacza zwierzę nie każdemu znane.

ŁAMIGŁÓWKA ZGŁOSKOWA.

(Dla Czarnuszki z Mroczkowa od Konwalijki z Jakimowic)

Z następujących zgłosek: a—ba—ban—bel—bar—czek
—cal—e—ger—grodz—gon—gio—he—ko—kom—kie—
kand—li—la—ład—o—o—ro—raj—re—reg—sy—ta—wel
—wa—yar—zów—ułożyć wyrazy: 1. Hazardowna gra w karty. 2. Organ wzroku. 3. Góra w Turcyi azyatyckiej. 4. Miasto kąpielowe w Czechach. 5. Pseudonym poety polskiego. 6. Porządek. 7. Miasto w Rosyi. 8. Rzeka w Czechach. 9. Dwudziesta czwarta część łocia. 10. Narzędzie stolarskie. 11. Jezioro w Polsce. 12. Rzeka w Ameryce. 13. Miasto w Podols. gub. 14. Miasto we Włoszech. 15. Miasto w Małej Bucharyi. Pierwsze litery od góry do dołu utworzą imię i przydomek króla polskiego, a ostatnie tytuł dzieła Mickiewicza.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 46-go

Szarady:

Nie — za — budka.

Łamigłówni sylabowej:

Kołątaj—Oaza—Czyżyk—Herkules—Aureli—Jenikale
—Baobab—Lilipuci—Indye—Zeus—Nakwaska—Im—Elegie
—Głóg—Ohio.

Kochaj bliźniego jak siebie samego.

WYDAWNICTWA

Księgarni Teodora Paprockiego i S-ki.

w WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT 41.

Rs. k.

Amicis Edmund de. Pamiętnik chłopca. Książka dla dzieci. Przełożyła z włoskiego z upoważnienia autora Marya z Siemiradzkiej Obrąpalska. Rs. 1, kartonow. rs. 1 kop. 50, w oprawie ozdobnej 1 75.

Rs. k.

Dawid J. Wł. Krótka gramatyka polska. (Wydanie piąte, pomnożone i poprawione.) — 40.

Flinzer T. Metoda nauki rysunku, oparta na zasadach naukowych z 44 rysunkami w tekście i 21 litografowanymi tablicami, przekład dokonany staraniem redakcyi „Przeglądu pedagogicznego”. 1 50.

Gargulski St. Książka obejmująca naukę czytania, powiastki, bajeczki, ważniejsze modlitwy, krótki katechizm z przygotowaniem do spowiedzi, sposób służenia do mszy św. z dodaniem nauki rachunków, przez doświadczonego pedagoga napisanej. Wydanie 2-ie, poprawione i powiększone.

Jerous W. Logika, objaśniona figurami i pytaniami, przełożył z angielskiego Henyk Wernic. Kok. 75, w opr. — 95.

Krynicky K. Rys geografii Królestwa Poplskie z mapą Kr. Polskiego kolorowaną rs. 1,20 w oprawie 1 40

M—a. (M. Zielińska). Teatrzyk amatorski dla dzieci. Treść: Ostatnia z rodu (Wanda). — Piast. — Król ojciec (Bolesław Chrobry). — Kazimierz I. — Bolesław Śmiały dzieckiem. — Bolesław Śmiały. — Bolesław Krzywousty. — Pięte koło u wozu (Czasy Bolesława Krzywoustego). — Kazimierz II Sprawiedliwy. — Leszek Biały. — Władysław Łokietek. — Kazimierz Wielki dzieckiem. — Haimburgskie śluby (Królwa Jadwiga). Kazimierzowa wnuka. — Władysław Warneńczyk. — Perskie swaty. (Długosz). — Bracia nieprzyjaciele (Władysław Jagiełłończyk). — Zygmunt I w Grypsholmie. — Władysław IV dzieckiem. — Przerwane wesele (Anna Ostrogska). — Wieczór zimowy w modrzewiowym dworze (Stefan Czarniecki). — Odświeżona tarcza albo Król poniewolony (Michał Korybut). — Marya Leszczyńska. — Zapomoga króla Jana. Rs. 1, w oprawie rs. 1 kop. 20 i 1 50.

Marrené W. Zbiór powieści dla dzieci i młodzieży, wybranych przez... I Kazio. W oprawie w płótno angielskie — 75.

Meyer Wilhelm M. W państwie gwiazd. Astronomia w pogadankach popularnych. Z niemieckiego tłómaczył Feliks Wermiński. Z drzeworytami w tekście i z dodaniem litografowanej karty nieba. Rs. 1 kop. 50. Pogadanki naukowe, p. autorkę Wieczorów czwartkowych. W oprawie płóciennéj. 1 —

Popławska Marya z Łozińskich. Obrazki z życia dla młodocianego wieku, z 4-a drzeworytami kop. 60 w oprawie. — 75.

Schroot A. Życie i zdrowie człowieka. Hygiena popularna dla wszystkich. Tłómaczył z upoważnienia autora i opracował d-r. med. A. Fabian. 3 20.

Słupski Zygmunt. Wpływ nauczania i metoda pogładowa. Odczyt ilustrowany praktyczną lekcją o motyłu, wypowiedziany w Warszawie d. 24 Maja 1884 r.

Swieżawski Emel Lilimczyk. Rozmowy o dawnych dziejach (Historia polska). Rs. 2, karton. rs. 2 kop. 25 w oprawie w płótno. 2 50.

Szretter Piotr. Nauka pięknego pisania (kaligrafii) Wskazówki dla nauczycieli i uczniów. — 40.

„Zdrowa dusza w zdrowem ciele”. Podręcznik sportowy, zawierający naukę: gimnastyki, fechtunku, boksowania, pływania, łyżwiarstwa, wiosłowania, jazdy konnej, jazdy welo-cypedowej i tańca, zebrane z różnych autorów i objaśnione licznymi drzeworytami w tekście. 2 —

TREŚĆ: Doświadczenie naukowe (z drzew.) — Podziemia barwałdzkiego zamku p. Boguchwała (c. d.) — Nowy użytek welo-cypedów (z drzew.) — Wieża Eiffel'a, komedyjka w jednym akcie. — Ryba chodząca (z drzew.) — Wspomnienia młodego wędrowca z podróży naokoło świata (c. d.) — Łamigłówni i rozwiązania. Dodatek: Rozwiązanie zagadki do N-ru 47-go (drzew.) — Dukat, wiersz p. M. N. — Złotliwy żart Adasia. — Pyszna Marylka p. Z. M. — Naparstek Stasi. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Szesnastoletni wojewoda, powieść p. Michalinę Zielińską.

ROZWIĄZANIE ZAGADKI DO N-ru 47-go.



Pies. Dziecko.
Przyjaciele.

DUKAT.

Raz, w nagrodę, dobry tata
Ignasiowi dał dukata.
Ucieszony chłopiec złotem,
Przed wszystkimi mówił o tem.
„Patrzcie!” rzecze, „za naukę,
Otrzymałem złota sztukę;
Przypatrzcie się tylko zblizka,
Jak dukacik mój połyska!”
Na to ktoś ze starszych osób
Odezwie się doń w ten sposób:
„Pilność twoja, chłopcze luby,
Niem mało ci czyni chluby;
A nagrody twój pilności
Niejeden ci pozazdrości.
Piękną rzeczą jest nauka,
Kto częściej chluby w niej nie szuka;
Piękny dukat, sztuka złota,
Lecz piękniejszą od niej cnota:
Staraj się więc zawsze o to
Żeby łączyć rozum z cnotą.

T. N.

Złośliwy żart Adasia.

Adaś był już chłopczyk spory, i uczył się ładnie, a nawet zdarzało mu się czasem coś tak zręcznie powiedzieć, że to podobało się słuchającym i nazywano go dowcipnym żartownisiem. Cóż z tego wszystkiego, kie-

dy bywał przy tem złośliwym tak, że aż młodsze rodzeństwo nieraz płakało z jego przyczyny. Rodzice go przestrzegali, że złośliwość jest wadą brzydką, która go niemiłym dla wszystkich czyni, Adaś obiecywał poprawę, a robił swoje.

Raz zdarzyło się, że zginął Kruczek, ulubiony piesek domowy; dzieci ubolewały nad tem serdecznie, rodzicom także żal było wiernego stróża i przyjaciela; porozsyłano posłańców z rysopisem Kruczka na poszukiwanie, i ogłoszono we wszystkich kuryerach o zaginionym psie średniej wielkości, czarnym, z kiciastym ogonem, kudłatemi uszami, plamką białą na czole, na końcu ogona i czterema pończoszkami białemi.

Nazajutrz przy herbacie, gdy wszyscy byli u stołu zebrani i rozmawiali o Kruczku, wziął Adaś Kuryera do ręki, spojrzął na doniesienia i czyta: „12 bieżącego miesiąca przybłąkał się pies czarny średniej wielkości, z kiciastym ogonem, kudłatemi uszami, plamką białą na czole, na końcu ogona i czterema pończoszkami białemi. Prawy właściciel odebrać psa tego może za zwrotem kosztów ogłoszenia i t. d.” Krzyk radosny ozwał się przy stole, wszystkie dzieci skoczyły, chwytając owego Kuryera, wołając:

— Jak? Gdzie? który numer? Trzeba wyciąć to ogłoszenie...

Zosia i Franuś, pochwyciwszy ile mieli pieniędzy, brali już kapelusze i wołali o dorózkę, chcąc natychmiast wieczorem jechać po Kruczka; inne dzieci próżno tymczasem szukały owego ogłoszenia w Kuryerze, a Adaś, wsparty łokciami na stole, twarz w dłoniach ukrywszy, dusił się ze śmiechu, bo tego ogłoszenia wcale w Kuryerze nie było, tylko Adaś je tak sobie zmyślił dowcipnie. Przestał się śmiać jednakże, gdy po chwilowej radości powstał pomiędzy rodzeństwem taki płacz z doznanego zawodu, że aż słuchać było przykro, a bona rzekła:

— A już też trzeba serca nie mieć, żeby tak okrutnie żartować z cudzej zgryzoty.

Adaś wstał i chciał odejść, ale ojciec rzekł:

— Nie, mój synu, zostań tu i słuchaj płaczu rodzeństwa, bo musi on ci być przyjemnym kiedy go umyślnie wywołałeś.

I rzekłszy to wyszedł z pokoju, Adaś zaś pozostał blady i ze spuszczonei oczyma.

Od tej chwili przestał popisywać się ze złośliwemi żartami. Kruczek aż na trzeci dzień się znalazł.

Pyszna Marylka.

Jedni państwo mieli córeczkę imieniem Marylka. Ładna to była dziewczynka, ale niestety miała bardzo dużo grymasów, a szczególnie zdawało jej się, że jest jakąś znakomitą osobą. Rodzice jej byli bogaci, służba więc mówiła jej ojcu: „jaśnie panie”. Słyszała też, że mówiono nieraz w garderobie o majątku jej rodziców. Tak się

więc przewróciło w głowie maleńkiej Marylce, że gdy jęj nie powiedziano „jaśnie panienko” tupać nóżkami i wołała:

— Jak to ty mnie mówisz, czy nie wiesz, że jestem jaśnie panienką? Gdy zaś ktokolwiek zapytał, jak jęj imię, odpowiadała:

— Jaśnie panienka Marylka!

Gdy to słyszała mama lub ojciec, mówili jęj, żeby tego tytułu nie dodawała, bo jest jeszcze maleńką i śmiesznie wygląda, jeżeli takie dziecko wymaga jakiegoś wielkiego poszanowania, kiedy na to jeszcze niczem nie zasłużyło. Ale mama i tatko mówili swoje, a Marylka swoje.

Razu jednego Marylka pojechała z rodzicami do dużego miasta. Rodzice mieli rozmaite interesa, nie mogli więc Marylki ciągle trzymać przy sobie i wysyłali ją często do ogrodu z boną, bardzo dobrą osobą.

W ogrodzie bawiło się dużo dzieci, które, zobaczywszy przybywającą dziewczynkę, przybiegły do nięj i zapraszały do zabawy.

Jedna bardzo grzeczna dziewczynka, trochę starsza od Marylki, chciała jęj nawet pozwolić swojej lalki do zabawy, ale Marylka wydałszy usteczka i zadartszy główkę do góry, nawet jęj nic nie odpowiedziała, tylko poszła dalej. Potem usiadła na ławce i ująwszy bonę za suknię, siedziała nadęta.

Po chwili zbliżyła się znów do nięj jakaś dziewczynka i zapytała:

— Możebyś się z nami zabawiła, bawimy się w ptaszka i właśnie potrzeba jeszcze jednęj dziewczynki.

Marylka założywszy rączki i wyprostowawszy się, nic nie odrzekła.

— Mnie imię Zosia, a tobie jak imię? — zapytała znów przybyła.

— Jaśnie panienka Marylka! — odrzekła dumna dziewczynka i jeszcze bardziej się wyprostowała.

— Czy to twoje nazwisko Jaśnie panienka? — zapytała żartobliwie Zosia.

— Nie, to tytuł, ja jestem jaśnie panienka i z byle kim bawić się nie będę.

— Jakaś ty niegrzeczna, Marylko — szepnęła jęj bona.

Ale Marylka wydeła tylko po swojemu usteczka i spojrzała z niechęcią na bonę.

Zosia tymczasem odeszła i powiedziała innym dzieciom, że ta dziewczynka, co tam siedzi na ławce, odpowiada, że z niemi bawić się nie będzie, bo ona jest jaśnie panienką.

— A cóż to do zabawy przeszkadza? — zapytał Wosio — ale chodźmy zobaczyć, jak to ta jaśnie panienka z blizka wygląda!

— Może ona chodzić nie umie i dlatego bawić się nie chce — dodała inna dziewczynka, i pobiegła za Wosiem, a za nią wszystkie dzieci.

Marylka o mało się nie spaliła ze wstydu, gdy dzieci stanęły przed nią i zaczęły jęj się pilnie przypatrywać!

— Pójdźmy ztąd! — rzekła do bony i zeskoczyła z ławeczki.

— Ależ ta panienka tak samo umie chodzić jak i my! — zawołał Wosio.

— Jaśnie panienka tak samo wygląda jak i my wszyscy wołały inne dzieci.

— Czemuż więc moja panienko, tak się pysznisz, kiedy niczem się od nas nie różnisz? — zawołała Zosia.

— Czyś ty coś bardzo dobrego już na świecie zrobiła, albo czy jesteś bardzo rozumna, że się z nami bawić nie możesz? — wołał Wosio.

Marylka szła ogromnie zawstydzona i sama nie wiedziała, co z sobą zrobić.

Odtąd jednak, gdy jęj się kto zapytał, jak jęj imię, nie odpowiadała już w podobny sposób, bo wiedziała, że używanie tytułu dla małych dzieci jest bardzo śmieszne i niemądre.

Z. M.

NAPARSTEK STASI.

(Dokończenie).

„A czy niema przytem niebezpieczeństwa?” pytacie zaciekawieni. „Bogać tam nie”, odpowiada stary. „Górniki pod ziemią, to jak majtek na morzu, nigdy życia nie pewny. Może każdęj chwili sklepienie się zapaść i żywcem go zasypać, może przy rozsadzaniu jaki odłam na miejscu go ubić, często złe powietrze go zadusi, albo woda z podziemnych źródeł całą kopalnię zaleje i wszystkich potopi, bo nie zdążą na świat się wydostać. Tak, tak, miłe paniątka, życie górników ciągle na niebezpieczeństwo narażone, ale w Bogu nadzieję pokładamy uczciwie pracujemy, to i nie boimy się śmierci.

Mowa starego wrzusiła was, prosicie mnie, abym dała kilka złotych tym pocciwym ludziom na piwo, a potem zaraz chcecie już wrócić na powierzchnię ziemi. „Może państwo spuszczać się jeszcze niżęj?” pytają górnicy — „mamy jeszcze dwa piętra w głąb pod spodem” — ale wy macie już dosyć tęj podziemnej wędrówki. Siadamy do wiadra, wnosimy się w górę i za kilka chwil blask słońca oślepi nasze oczy przywykłe do ciemności. Witaj nam, witaj, kochany świecie! witaj nam jasne słońeczko.

Na powierzchni ziemi w pobliżu kopalni wszędzie wre robota. Winda wyciąga rudę z kopalni, robotnicy przyjmują ją i odwożą taczkami do składów. Ztamtąd pokruszona w drobniejsze kawałki idzie do wysokich, jak wieże, kamiennych pieców. Piece te, odpowiednio urządzone, napełniają pod sam wierzch warstwami rudy i węgla kamiennego, podpalają od spodu, a wiatr, wpadający otworami u dołu, rozżarza węgle do tego stopnia, że ruda zaczyna się topić. Gorąco jest tak straszliwe, że i piece roztopiłyby się z pewnością, gdyby nie były budowane z kamienia ogniotrwałego, zwanego piaskowcem. Kiedy już cała zawartość pieca roztopioną została, czysty metal spłynął na spód, a obce części i przymieszki, jako szumowiny czyli żużle zostały na wierzchu, otwierają kamienne drzwiczki pieca. Rozpuszczone żelazo, płynie jak woda, wypływa ognistą strugą w długie a wąskie rynienki, wytłoczone w wilgotnym piasku i tam tężęje w tak zwane sztaby żelazne. W tym stanie, jako surowiec, czyli surowe żelazo, zakupywane bywa przez

kowali, nożowników, ślusarzy i innych rzemieślników, obrabiających żelazo, a fabryki odlewów żelaznych, fabryki maszyn i narzędzi rolniczych, szczególnie jednak hamernie, sprowadzają sztaby w nieprzeliczonej ilości.

— A co to są hamernie, mamusiu? — pytał Kazio.

— Hamernie są to fabryki wyrobów żelaznych i stalowych, właściwie po polsku nazwać je należy kuźnicami. Poprostu są to wielkie kuźnie, gdzie młot kowalski niezmierniej wielkości i ciężkości podnoszonym jest, nie siłą rąk ludzkich, jak w zwyczajnej kuźni, lecz siłą maszyny parowej. W takiej kuźnicy jedną ze sztab przeznaczono na wyrób naporstków; rozpalono ją najprzód do białości prawie, puszczając na nią strumień zimnego powietrza, aby ją nastalować, czyli w stal zamienić; następnie kuto ją wielkim parowym młotem, aż iskry przyskały dokoła. Sztaba spłaszczyła się znacznie, ażeby ją dostatecznie zrównać, przeciągnięto ją między dwoma walcami żelaznymi, ztąd wyszła jako cienka, połyskująca wstęga. Tę wstęgę pokrajano w maszynie na małe, wąskie paseczki; paseczki porznięto w kawałki i porobiono z nich maleńkie rurki, takiej wielkości, aby weszły na czubek palca. Z drugiej części wstęgi wybito w maszynie wnóstwo maleńkich krążków, które przylutowano, jako denka do rurek, przybierających już kształt naporstków. Przydanie denka i zlutowanie rurki przez środek dokonano tak zręcznie, że całość wygląda, jakby z jednej sztuki zrobioną była. Następnie gotowy już prawie naporstek wsadzano na żelazny palec i poddano pod wałek, najeżony stalowymi kolcami. Jeden obrót koła wystarczył do wytłoczenia mnóstwa dziureczek, w regularnych odstępach, jakie na każdym naporstku widzicie. Otoż i robota skończona, pozostaje tylko rozdzielić gotowe naporstki podług wielkości i układać tuzinami w pudełka, do czego używa się dziewczątek w wieku Stasi.

— Ach! jaka to była zajmująca historia — zawołał Kazio. — Nigdy nie myślałem, żeby jakiś tam kobiecie naporstek mógł mnie tak mocno zainteresować. Zdaje mi się, że naprawdę byłem w kopalni rudy, że widziałem przetapianie żelaza w wysokich piecach, i że przed memi oczami odbywała się w kuźnicy cała robota tego drobiazgu, na który dawniej nie zwracałem uwagi. Wiesz co, Stasiu — zwrócił się do siostry — po tem, co słyszałem od mamy, będę z większym szacunkiem dla twoich naporstków.

— A ja będę więcej szanowała swoje rzeczy, od kiedy wiem, że nawet na wyrobienie takiej drobnostki, jak naporstek, tyle pracy ludzkiej potrzeba — odpowiedziała Stasia z niezwykłą u niej powagą.

Zofia Rukowiczowa.

SZARADA.

(od Chmurki białej dla Szarłej Kotki).

Pierwsze-drugie sennie niemiłe marzenia,
Trzecie nazwa muzycznego brzmienia,
Wszystko jest imię niewieście,
Częste po wsiach, częste w mieście.

ZADANIE KONIKOWE (Pajac).

le	da	bło	ko
ni	od	da	pa
Nie	ko	jabl	ja

ROZWIĄZANIA DO N-ru 47-go.

Łamigłówki w kwadraciku :

Kto chce szczerze wiele może.

Skrzynka do listów.

Nat. z Łabędzia dobre przysłała rozwiązanie. Wszystkich, którzy przysyłają liściki do wydrukowania, prosimy o cierpliwość, bo nawal korespondencyj jest taki, że czekać one muszą swojej kolei. Do wszystkich także ponawiamy tylokrotnie zanoszoną prośbę, aby tak liściki, jak łamigłówki, pisane były na zupełnie osobnych karteczkach, nie zaś na tej samej ćwiartce, na której się mieści list, bądź to do nas, bądź to do Gołąbki. Listy pozostają w redakcyi, liściki zaś, łamigłówki lub szarady idą w swojej porze do druku i wtedy przepisywać je musimy, co nam wiele roboty przyczynia. Mamy nadzieję, że droga działwa, zrozumiawszy powody zastosuje się do naszej prośby, co zresztą jest rzeczą tak łatwą.

Droga Kapłanko Żnicza, Gołąbka niezmiernie się cieszy, że wymyślone przez nią konkursowe zadanie, wywiera już dobre skutki w praktyce. Tem też pewniejszą jest, że jeżeli komu, to tobie nie trzeba już będzie powtarzać prośby, z jaką redakcyja odzywa się do grona korespondentek, a której zadość uczynienie oszczędzi wiele czasu tym, co doprawdy, nie mają go do zbytku.

Niezapominajko z nad Warty, treść do odpowiedzi na zadanie konkursowe weź, jeżeli nie z własnego życia, to z otoczenia, opisz jednym słowem to co ci życie na myśl nasuwa. Tak radzi sercem oddana wam wszystkim Gołąbka.

W odezwie naszej, kochana Lobelio prosiliśmy, aby się zgłaszali do nas po nagrody ci tylko, którzy to uczynić mogą z łatwością, w przeciwnym zaś razie zawsze wysyłamy je sami. Sądzymy że już odebrałaś swoją.

Ucieszyliśmy się liścikiem twoim miła Grażyno, bo nam zwiastuje, że już zupełnie powróciłaś do zdrowia, którego stan tak nas zasmucał. Nie choruj że już nigdy. Czytaj lepiej „Wieczory” skoro ci się podobają, (co nam wielką przyjemność sprawia) czas stracony dla nauki możesz jeszcze później nagrodzić stokrotnie. Dziękujemy ci serdecznie za pamięć o biednej uczennicy. Najwięcej daje ten, kto daje, mimo że wiele dać nie może. Pochwalamy też bardzo przekonanie, że to co dajemy we własnym imieniu, od nas samych powinno pochodzić. Liścik do Macierzanki wydrukujemy, tymczasem zaś ściskamy cię serdecznie.

Ujęłaś nas bardzo liścikiem twoim, droga Gosposiu z nad Warty, wykreśliłibyśmy tylko z niego „obawę uprzykrzenia”, bo serdeczne wyrazy dla nas i dla naszego Pisemka, uprzykrzeć się nam nie mogą. Jakże cieszymy się nadzieją uściskania cię w naszej redakcyi, pamiętaj że cię oczekujemy niecierpliwie. Dobrze że lubisz pisać, bo nie lepiej nie kształci stylu. Powiastka też pisana wcale gładko. Pochwalamy zawarte w niej myśli, lecz nie powinna znać się powiastką, bo jest tylko opowiadaniem o kilku chwilach czasu, spędzonego pożytecznie przez dobre dziewczynki. Szaradę umieścimy.

Kwiat Lotosu może być pewnym, że Gołąbka zawsze odpowiada, a mybysmy go jak najserdeczniej powitali w redakcyi. Miło nam też niezmiernie dowiedzieć się z liściku twego, zamorski kwiatku, że tak lubisz swojskie tematy konkursowe, a co do terazniejszego konkursu, to sądzimy, że jest on niezmiernie łatwym i razem bardzo dużo dającym do myślenia. Mamy też nadzieję, że licznie odpowiedzą nań korespondentki nasze. Zagadka czekać musi swojej kolei, co nieraz trwa dość długo ze względu na szczytłość miejsca, przeznaczonego w naszym Pisemku na tego rodzaju utwory, które po większej części dobrze układają i dobrze rozwiązują młodzi nasi czytelnicy.

Między innymi dobre rozwiązanie nadesłał **Lucio des E.**

Kapłance Znicza powtarzamy to, cośmy powyżej powiedzieli, że tak łamigłówni jak i korespondencye czekać muszą swojej kolei. Powtarzamy także prośbę, aby liściki, łamigłówni i t. p. umieszczać na osobnych karteczkach. Co do tłómaczeń, trwamy przy naszym zdaniu. Wierszyk „Zima się zbliża” *wyjątkowo* był drukowanym nie dla tego że mu nadano wierszowaną formę, ale mimo to, a choć nie wątpimy, że każda z czytelniczek naszych odpowie uń: „My to czujemy”, nie możemy jednak ogłaszać tej odpowiedzi — właśnie z powodu nadanej jej formy.

Wesoła Krakowianka tak serdecznymi wyrazy dziękuje za nagrodę, że jej podziękowanie staje się najmiłą dla nas samych nagrodą.

Ukraineczko z Mazowsza, i my też żałujemy bardzo, że nie zastałaś nas w redakcyi i cieszymy się tem zajęciem, z jakim czytasz i odczytujesz „Wieczory”.

Pucka złożyła dla biednych ofiarę, za którą dziękujemy serdecznie starem naszym: Bóg zapłać!

A teraz z dwoma ciałami niebieskimi mieć nam przychodzi do czynienia. Od ciebie zaczynamy, **Gwiazdo!** Dzieweczko droga, „ciepłego słowa”, o które prosisz z taką usilnością serdeczną, nie odmówimy ci nigdy, ale będzie ono dzisiaj zarazem i słowem przestrogi. Ten smutek, na który się uzalasz, żadną nie wywołany przyczyną, niczem istnienia swego usprawiedliwić nie mogący, jest pewnego rodzaju chorobą moralną, przeciw której działać koniecznie potrzeba. Dwa znane lekarstwa potężne: modlitwę i pracę. Najlepsze to środki zaradcze na te nieokreślone, łzawe jakieś tęsknice, co czasem chwytają za serce nawet ludzi zahartowanych już przez życie, ludzi tak wiele nieraz mających powodów do smutku rzeczywistego, że na urojone nie powinno być miejsca być w ich sercu. Zna je każdy, ale każdy kto dba o kształcenie swojej istoty moralnej i ciągły jej postęp, oddala je od siebie jak pokusę złego, jak źródło dusznej choroby i odrętwienia duchowego. Obezsłają one, odbierają odwagę do pracy, ochotę do życia, gotowość do podźwignięcia jego obowiązków... nie godzi się im poddawać! **Gwiazdo** ukochana od nas za miłość i ufność z jaką się do nas garniesz, pseudonymowi swemu wierną być trzeba i świecić jasno, równo, wesoło, a jeżeli nie wesoło, to przynajmniej spokojnie i jaknajprędzej wychodzić z poza chmur, które ci mimowiedzy prawie twojej, naniesie wiatr wiejący od drobnych przykrostek życia. Oto odpowiedź nasza i rada z serca płynąca, a na doświadczeniu oparta...

Zaciekawiałaś mnie swoją odezwą, kochana polska Sosno, nie znam bowiem nikogo w Owruclu, i długo myślałam zkąd wiesz tyle o mnie szczegółów, wreszcie wpadłam na myśl, że to pewnie ciocia twoja tak mnie pochlebnie odmalowała. Sprawisz mi wielką przyjemność, jeżeli kiedy napiszesz do mnie. Mnie na imię Józia, a w numerze 23 dowiedzieć się możesz więcej, ściska cię serdecznie **Biała Perelka**.

Droga biała Myszko! Serdecznie bym rada była, gdyby twój projekt mógł się urzeczywistnić, ale ponieważ redakcyja nie może pomieszczać tak długich korespondencyi, więc wynagradzamy to sobie częstemi liścikami, a może się kiedy poznamy? bo mieszkamy obie w podols. gub. Zmieniłam mój pseudonym z Rusałki na **Gwiazdę**. Donieś mi co o sobie. Ja nazywam się Janina, jestem dość słuszną szatynką i mam zielone oczy. Kończę z obawy, czy list mój nie za długi. Szczerze ci życzliwa. **Gwiazda**.

Kochana śpiewna Liro! Z twych listów w „Wieczorach”, do-

wiedziałam się, że masz jechać do Petersburga, gdzie ja mieszkam, radabym się więc dowiedzieć, jak się nazywasz? Twoja **Ciocia Figa**.

Kochana Kulko śniegowa! Nie gniewaj się na mnie proszę za to, że tak długo nie pisałam, ale smutne okoliczności rodzinne były do tego powodem, teraz będę często pisywać. Mieszkam w Petersburgu, lecz urodziłam się na Polesiu, nazywają mnie w domu Poleszczuką. Żegnaj cię, twoja **Bomba**.

Droga śpiewna Liro! Wielką mam chęć poznać się z tobą przez nasze kochane „Wieczory”, i dla tego też pierwsza odzywam się do ciebie. Znam cię trochę z listów twoich. Donieś mi czy dawno czytujesz „Wieczory”, bo ja niespełna od roku, a tak je pokochałam, że poprostu przepadam za nimi. Jak ci się podoba Petersburg i czy oddawna tam mieszkasz? Czy lubisz muzykę? bo ja bardzo. A teraz przyjm serdecznego całuska od **białej Perelki**.

Kochana Mgło! Odgadłam kto jesteś. Na imię ci Mania, mieszkasz w Hrubieszowie, masz dwie siostry Emcię, Teklę i brata Stasia. **Malina z nad Póru**.

Kochana Józiu Ł. w Gł! Dziękuję ci bardzo, żeś do mnie napisała i z przyjemnością ci odpisuję przez nasze kochane „Wieczory”, obierz sobie jaki pseudonym i koresponduj ze mną i z innymi panienkami, na przykład z Bławatką z nad Horynia, którą znam i która jest jak mi się zdaje w twoim wieku. Ściskam cię serdecznie, twoja **Ukrainka na Mazowszu**.

Bławatce z nad Horynia, Stokrotce z nad Stochodu, Literatce i Stokrotce siostrzyczkom, i Jaskółce z nad Sekwany, (o której mi opowiadała pani Ogonowska, bawiąca obecnie w kraju) serdecznie zasylam uściski i pozdrowienia. **Ukrainka na Mazowszu**.

Mam do ciebie wielką sympatyę, miła Błyskawico za to, żeś się pierwsza do mnie odezwała, chciałabym bardzo bliżej poznać się z tobą, wybieram się wkrótce do Żytomierza, mogłabym ci się przedstawić, gdybym wiedziała gdzie cię znaleźć? Prosi serdecznie o odpowiedź, **biała Perelka**.

Mam wielką chęć korespondować z tobą, droga Stokrotko z nad Stochodu. Na imię mi Antonina, mam 13-ty rok, mieszkam w Warszawie. Rodzice szukają dla mnie towarzyszki, bo samęj jednej uczyć się nudno. Donieś proszę co o sobie, bo zdaje mi się że jesteś milusią. Przyjmij uściśnienia od życzliwej **Kapłanki Znicza**.

Miluchny Poranku Majowy! Długo oczekujesz na odpowiedź odemnie, ale niech to nie daje ci złego o mnie wyobrażenia. Zapytujesz czy pragnę z tobą korespondować?.. z największą chęcią. Powiedz mi jak się nazywasz? Pseudonym masz bardzo ładny Ściskam cię: **Pioleczek z nad Wisły**.

Dawno już chciałam do ciebie napisać, droga Niezapominajko z nad Warty, bo czuję do ciebie wielką sympatyę. Proszę cię donieś, gdzie mieszkasz, jak się nazywasz i ile masz rodzeństwa? Czy dawno czytujesz „Wieczory i co ci się najwięcej podoba? Mnie zaciekawiają bardzo „Podziemia Barwałdzkiego zamku”. Ja mam tylko małą siostrzyczkę Wańdzię. Bywaj zdrowa i pamiętaj o **Li-twinie z nad Szczary**.

Gwiazdce Jeroz. i Topolce srebrnej uściśnienia przesyłam.

Drogie moje. Piosenko i Stokrotko polna! Donoszę ci Piosenko miła, że mam lat 14, na imię mi Mania, jestem wysoką, blondynką, uczę się w domu. Czy tak bardzo lubisz piosenki, żeś się od nich nazwała? Zgadłaś, że gospodarstwo lubię bardzo. Donieście mi co więcej o sobie, gdzie mieszkacie? Pragnęłabym bardzo was poznać, drogie siostrzyczki. Nim to nastąpi, pisujemy choć do siebie i bądźmy przyjaciółkami. Ściskam was, **Gospośnia z nad Warty**.

Droga Topolko z nad Kodemy, Bajurko z Ludwińskiego podwórka, Kotko czarna i Muszko brzęcząca! Tobie kochana Topolko dziękuję za tak miły liścik i odpowiadam na zapytania: muzykę bardzo lubię. Jeżeli chcesz się dowiedzieć, gdzie mieszkam i jakie mam imię, przeczytaj list do mnie od Semiramis w numerze 34. Napiszcie do mnie drogie siostrzyczki, gdzie mieszkacie, jak się zowiecie i co wam się w Wieczorach najwięcej podoba? Kocham was bardzo i przesyłam milion pocałunków. **Niezapominajka z nad Warty**.